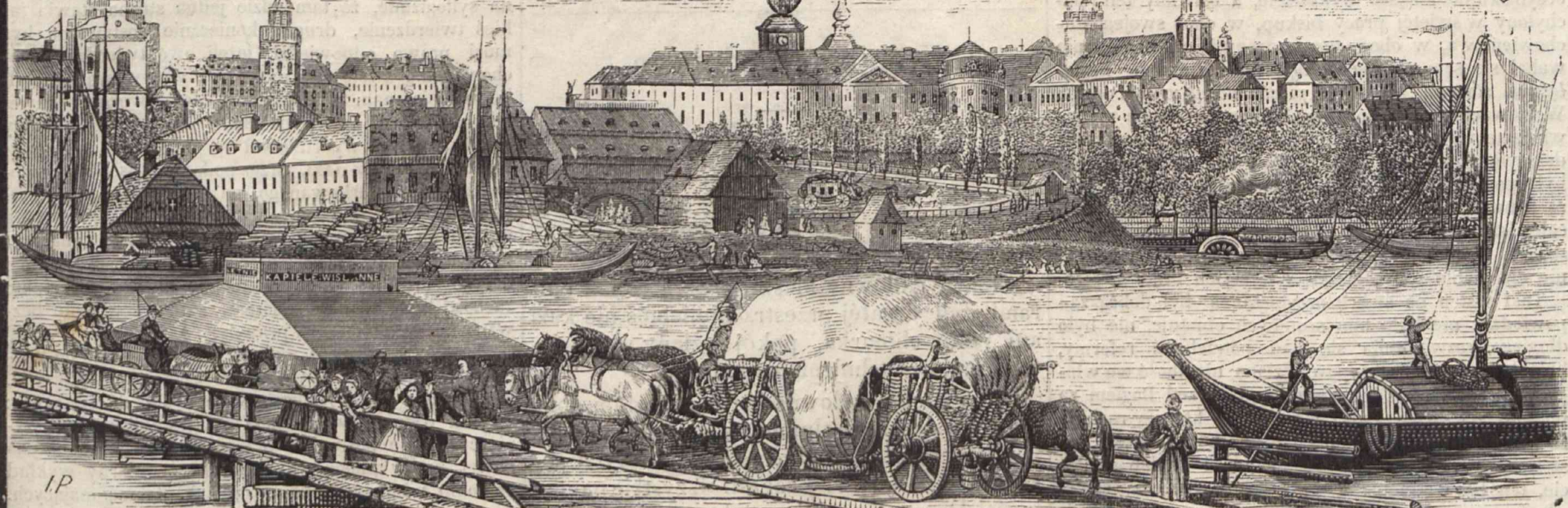


TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 107.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 671 pół.

Warszawa, 12 października 1861 r.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM IV.

TREŚĆ NUMERU: Antoni Melchior Fijałkowski, Arcybiskup Metropolita warszawski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Wycieczka do Gdańska przez Deotymę (z trzema drzeworytami) ciąg dalszy. — Klementyna z Tańskich Hofmanowa (dokończenie). — Zwierzęta. bajka. — Odezwa p. Mikulskiego z Krakowa. — Zkąd brać na początek nauczycieli elementarnych? — Korespondencya Tygodnika Ilustrowanego. — Szachy i Rebus.

KS. ANTONI MELCHIOR FIJAŁKOWSKI, Arcybiskup Metropolita warszawski.

Niema strony dziejów ojczystych, na którejby nie było zapisane nazwisko jakiego biskupa, świętego w kościele, w narodzie. Od św. Wojciecha, od św. Stanisława, aż do Sołtyka, do Woronicza, mamy w pasterzach polskich długi szereg wzorów i życia kapłańskiego, i cnót obywatelskich. A bratanie się to dwóch sfer życia, kościelnej i obywatelskiej, nie szło na szkodę ani kościołowi, ani rzeczypospolitej: z jednej strony podnosiło ono i uświęcało życie narodu, namaszczając je uczuciem religijnym, a z drugiej jednalo kościołowi umysły i serca narodu.

Nie chcemy popadać w jednostronność, nie chcemy utrzymywać, by koleje narodu zależały wyłącznie od mniejszej lub większej w danym czasie liczby wielkich biskupów; ale to jest widocznym, że w świętych czasach naszej historii na przodzie obywatelstwa świecił zawsze znakomity orszak dostojników kościoła, i że dopiero wśród ogólnego zmalenia ducha, w czasach chylącej się ku upadkowi rzeczypospolitej, malała i miara wielkości dawnych pasterzy naszych. Działanie da się tu dopatrzeć zobopólne: wiek wydawał ludzi na swoje podobieństwo, a ludzie nawzajem pojedynczy, wyżsi czy to osobistością, czy położeniem społecznym, wpływali na czasy swoje.

Życie ś. p. Arcybiskupa Metropolity Antoniego Melchiora Fijałkowskiego mogłoby nowym być tej prawdy stwierdzeniem, gdybyśmy śledzić chcieli, jak w życiu tém odbijał się cały peryód dziejów, których przez 84 lat zmarły dostojnik kościoła był świadkiem, począwszy od ostatnich czasów rzeczypospolitej, na które przypadło narodzenie jego. Ale analizować wpływów społecznych na życie publiczne ś. p. Metropolity naszego, ani też odwrotnie, wpływu jego na te sprawy

rozierać tu nie zamierzamy: zostawiamy to komu innemu i na kiedy indziej; dziś, w obec świeżego jeszcze uczucia żalu, jakim przejęci jesteśmy wszyscy po zgonie tego męża, uwagę naszą całkowicie zajmuje osoba zmarłego sama w sobie, ze swym sercem pełnym miłości.

Zmarły nasz dostojnik Antoni Melchior Fijałkowski urodził się 3 stycznia 1778 r., we wsi Pszczewie pod Poznaniem, z ojca Stefana, matki Beaty. Nie znamy w tej chwili szczegółów z pierwszej epoki jego życia, ale to wiemy dobrze, iż nie widoki ziemskie, lecz pobożność poprowadziła go na służbę Bogu. Do służby tej przygotowywał się w seminarjum gnieźnieńskim do roku 1801, w którym odebrał święcenie kapłańskie.

Ks. Antoni Fijałkowski nie był potomkiem żadnej historycznej rodziny, którejby zasług wspomnienia zwracały nań uwagę i pomagały do posuwania się na wyższe stopnie hierarchii; syn ubożego szlachcica, dorabiał się on znaczenia w społeczeństwie własną zasługą, a zasługa każda, jeżeli płynie z ducha oglądającego się jedynie na Boga i na dobro powszechne, nie zaś na interes osobisty, niegłośną bywa pospolicie przez czas długi, bo nie krzyczy o sobie, bo gardzi wszelkiem teatralnym, choćby najzręczniejszym występownictwem przed oczy świata. I dlatego na ks. Fijałkowskiego powoli zlewały się godności kościelne.

Po wyświęceniu wzięty do boku ks. Malczewskiego, administratora ówczesnego diecezji kujawsko-kaliskiej, jako audytor, r. 1811 dostał kanonię katedralną włocławską, a w trzydzieści lat potem (r. 1841) sufraganią płocką, wraz z prelaturą-probostwem tamtejszej katedry. Roku 1844, po śmierci biskupa Chmielewskiego, obrany przez kapitułę metropolitalną administratorem archidiecezji warszawskiej, po dwunastu latach zarządu, r. 1856, 18 września, przez ojca św. z biskupiej *in partibus*, podniesiony został do godności arcybiskupa warszawskiego.

Pamiętamy dobrze dzień 11 stycznia 1857 r., w którym ś. p. ks. T. Łubieński sufragan kujawski, w kościele archikatedralnym św. Jana wkładał nań palusz, symbol arcybiskupiego ciężaru. Ze łzami w oczach, głosem głębokiego przekonania odpowiadając publicznie na życzenia wkładającego mu palusz,



Ks. ANTONI MELCHIOR FIJAŁKOWSKI. (Rysował Polkowski, podług litografii Fajansa).

mówił on wówczas o wielkości służby do jakiej go Bóg wzywał i o niegodności swojej. Ś. p. **Metropolita** nasz nie był krasomówcą, mówił zawsze po prostu, bez uciekania się do retorycznych ornamentów swojego słowa; ale gdy mówił poruszony jednym z tych wielkich uczuć, które w jego żyły sercu, prawdą i uroczystą powagą swojej mowy przenikał duszę słuchacza. Przed ołtarzem pańskim widzieliśmy wówczas osiwiatego na służbie bożej, pochylonego pracą żywota biskupa, któremu ojciec wszystkich wiernych wskazywał wyższe arcybiskupie miejsce w kościele, a osiwały ten i pochylony w świętej pracy biskup, w obec swojego duchowieństwa, w obec zgromadzonych wiernych, nie wahał się sam nazwać: *slugą nieużytecznym, niedołącznym starcem, niegodnym piastować tak wysoki urząd.* W słowach tych, choć nie dźwięcznie wcale wypowiedzianych, ale głosem od starości i wzruszenia drżącym, niepojęta leżała siła, bo w nich czuć było powiew owego natchnienia chrześcijańskiego, które pcha człowieka do bezwarunkowego poświęcenia całej istoty swojej Bogu, czuć było tę wielką miłość sprawy bożej, która chce wzrostu królestwa bożego nie dla siebie tylko, ale dla wszystkich braci swoich.

Taki wstęp na stolicę arcybiskupią był dobrą zapowiedzią: nie było tam szumnych obietnic, nie było długiego rozwodzenia się nad potrzebami reformy, była tylko szczerze wypowiedziana nieufność we własne siły i obawa odpowiedzialności przed Bogiem za włożony na swoje barki ciężar. Ale kto się rachuje ze swymi siłami, gdy mu się uśmiechają godności, kto szczerze uznaje swoją niedostateczność na ich podjęcie, ten bez wątpienia, choćby nawet w rzeczy samej siły jego nie ze wszystkimi były po temu, lepij odpowiemu powołaniu, aniżeli ten, kto skwapliwie sam wyciąga ręce ku wszelkiemu wyższemu stanowisku; bo tamten patrzy tylko na obowiązki, ten na blask i wygody do tego stanowiska przywiązane.

Ale ś. p. **Metropolicie** naszemu nie zbywało i na drugim po dobrej woli warunku, do pełnienia obowiązków koniecznym, to jest na siłach. Po 56 kapłaństwa, a po 78 latach życia obejmując arcybiskupstwo, ks. **Fijałkowski** był jeszcze czerstwym na duchu. Choć wiek sędziwy wołał niekiedy o spoczynek, gdy obowiązki wołały do pracy, głos obowiązku przemagał zawsze. Sprężyną działania, a zatem siłą jego, była mu zawsze miłość boża i dobro kościoła; to też jakkolwiek wielkim był miłośnikiem pokoju, jakkolwiek rad unikał wszystkiego coby mu ten pokój zakłócić mogło, jednakże nigdy dlań nie przენiewierzył się żadnemu z obowiązków swoich.

Jakim był w rządach dyecezyą, czytelnikom naszym rozpowiadać nie będziemy, ale jeżeli najwyższą dewizą każdego rządu, a zatem i duchownego, jest: *fortiter et suaviter* (silnie i słodko), to rządy ś. p. **Metropolitę** charakteryzowaćbyśmy mogli temi samymi dwoma słowami, większy tylko nacisk kładąc na wyrazie *suaviter* (słodko). Dobroć, którą tak wielbili w nim bliżej go otaczający czuć się dawała we wszystkich jego stosunkach z podwładnym sobie duchowieństwem.

A tak, gdy swymi czynami zjednał sobie serca wszystkich, gdy postawiony najwyżej w kościele naszym, równie wysoko stał w miłości i poszanowaniu ogółu, po sześćdziesięcioletniej przeszło pracy w kościele bożym, Pan postanowił odwołać go na wypoczynek po trudach. Pięknym było to zejście z pola pracy naszego **Arcypasterza**. Z jednej strony bowiem uwydatniła się miłość ludu dla niego w modłach po całej ziemi naszej odprawianych na uproszenie zdrowia dla umierającego; a z drugiej raz jeszcze w całej sile objawił on sam wszystkie swoje uczucia, którymi żył przez wszystkie dni, jakie mu Pan dał na ziemi.

Po spowiedzi, do której sam wezwał ks. kanonika Rzewuskiego, nastąpił dzień uroczystego przyjęcia Najświętszego Sakramentu i pożegnania się z duchowieństwem. W dwa chóry ustawione duchowieństwo odmówiło przy umierającym pasterzu swoim hymn: „Ciebie Boga chwylimy.“ Jest to hymn radosny, bo takim kościół żegna schodzących od pracy swoich biskupów, a jednak hymn ten radosny, ze łzami w oczach był odmówiony. Wielka myśl kościoła panowała w duszach obecnych bez wątpienia, ale serce ich ścisła się boleścią na widok gasnącego ukochanego przewodnika i ojca. Słowami: „w tobie Panie nadzieję miałem, więc nie zawstydzę się na wieki,“ zakończył sam **Arcypasterz** hymn swego duchowieństwa, poczem przyjął z żywymi oznakami wiary Najświętszy posiłek na drogę wieczności, a pobłogosławiwszy klęczące około łoża swojego duchowieństwo, w natchnionych słowach zalecał mu miłość przedewszystkiem i apostołstwo miłości, jako lekarstwo jedyne na wszystkie bolesti, jako budowniczkę całego szczęścia naszego. Po ukończonej tej uroczystej przemowie, której wszyscy w głębokim słuchali wzruszeniu, gdy jeden z obecnych prałatów wyrekł kilka słów nadziei polepszenia zdrowia chorego,

ten odpowiedział słowami malującymi najlepiej jego pasterską żarliwość: „Panie, jeżeli ludowi twojemu potrzebny jestem, nie wzdragam się pracy.“

Panu jednak podobało się inaczej, i d. 5 b. m. o godzinie 7 z rana nasz **Arcypasterz** zakończył życie; i z pośród nas ubył wprawdzie jeden tylko człowiek, ale jakie ten człowiek zajmował stanowisko przez miłość i cześć którą go cały otaczał lud, czujemy to wszyscy po tym bolesnym ścisnięciu serca, jakie po jego zgonie w powszechnej objawia się żalobie.

Kronika tygodniowa.



Słońce cudowny blask roztacza ponad murami stolicy, całej przestrzeni niebios nie kazi ani jedna chmurka, pokój rozlany w powietrzu, majowe tchnienie nad ziemią.

A na ziemi cudowna harmonia zdobi oblicze stutysięcznego tłumu, jedne uczucia kierują uderzeniem wszystkich serc, w których pokój Boży w tę chwilę zagasił wszystkie namiętności. Dusza przepełniona załamaniem za ukochanym **pasterzem**, wiarą że żywot jego nie zakończył się w chwili złożenia ciała do trumny, nadzieją że tchnienie Boże ożywi w godzinie zmartwychwstania tę znikomą powłokę, a sprawiedliwość przedwieczna wynagrodzi słudze swemu tę drogę cierni, którą dążył w doczesnym życiu do bram żywota wiecznego, i miłość tego ludu co się tutaj zgromadził, aby odprowadzić go do kresu, gdzie prędzej lub później wszyscy za nim podoją.

I posuwa się śród ulic kirem okrytych orszak żałobny, uroczysty, cichy, duszą pogrążony w niebiosach: wznoszą się pobożne a rzuwne pienia, jak dymy kadzideł ulatujące pod sklepienia świątyni.

Dzwony żałobnym jękiem rozdzierające powietrze, podnoszą nastrój smutku do nieskończonej potęgi. Anioł Boży płynie nad tym ludem, oddającym ostatni dowód miłości ziemskiej swemu **pasterzowi**.

„Wypuściłeś Panie sługę Twego w pokój,“ u stóp Twego majestatu stanął on okryty nie purpurą swego ziemskiego dostojenstwa, ale ubożuchny, a tylko białą szatą niewinności odziany, którą ozdobiłeś go wysyłając na doczesną pielgrzymkę. Tam oczekuje w pokorze Twego wyroku.

Miliony owieczek, które pieczy jego powierzyłeś, w jedną modlitwę splatają swe prośby, a błagają łaski Twój Ojciec: jeżeli kiedy w ciągu życia **pasterz** nasz zgrzeszył przed Tobą, jako niedoskonały a ułomny człowiek, zastąp miłosierdziem sprawiedliwość, zapomnij błędy, a pamiętaj o cnotach i przyjm go na łono wiecznej szczęśliwości.

Duchuswiętobliwego starca, z przestrzeni niebieskich, kędy Cię Bóg wszechmocny powołał, rzuć raz jeszcze okiem na tę ziemię, na której światło życia ujrzałeś, zstąp myślą między te owieczki, którym przewodniczyłeś w dążeniu do doskonałości ewangelicznej, a potem wznies serdeczną modlitwę za nas, sieroconych przez Ciebie, i wybłagaj nam u Ojca przedwiecznego błogosławieństwo, abyśmy gdy nadejdzie chwila wyzwolenia się z więzów ciała, byli przygotowani do przyjęcia żywota wiecznego i tych łask, jakich od Stwórcy naszego, wedle obietnicy Chrystusowej, oczekujemy.

Na tutejszym horyzoncie dziennikarskim ukazały się dwa nowe pisma; jednym z nich jest *Dziennik Powszechny*, drugim *Przyjaciel Zdrowia*.

Dziennik Powszechny, pismo urzędowe, polityczne i naukowe, wychodzące od 1 października r. b. w miejsce dotychczasowej *Gazety Rządowej*, pod wyłącznym zawiadywaniem Kommissji Oświecenia, powitany został przez wszystkie nasze pisma codzienne, jako zapowiedź większej niż dotąd możliwości rozwijania się i dla prasy prywatnej. Przypuszczenie to, oparte na syllogizmie, że tam gdzie jedna strona stawia jakieś twierdzenie, drugiej koniecznie zostawione być musi prawo odpowiedzi, jeżeli owo twierdzenie zachować ma swoją siłę moralną i wpływową, nietylko wydaje nam się słusznym, lecz widzimy nawet faktyczne jego potwierdzenie w słowach jakie nowy organ rządowy wydrukował w pierwszym swym numerze: „*Dziennik* taki, przez podanie sposobności swobodnego a umiarkowanego, na prawdzie opartego robioru działań publicznych, może także wpłynąć na uzaczenie dziennikarstwa krajowego.“ Jeżeli znaczące te wyrazy w przyszłości szerokie znajdą zastosowanie, tedy dziennikarstwo prywatne istotnie się uzacni, bo *zacność* jego, zdaniem naszym, stanowi właśnie bezwzględne wyświecanie prawdy.

Przyjaciel zdrowia, pismo tygodniowe, poświęcony jest higienie, czyli nauce zachowania zdrowia. Redakcja z zamilowaniem wzięła się do tej pracy: artykuł wstępny wypowiada jakie publiczności przynieść pragnie posługi, a przyrzeka nam i rozpoczyna nawet już w pierwszym numerze popularny wykład anatomii i innych nauk związek z higieną mających. Dla dobra ogólnego życzymy, aby pismo to mogło mieć jaknajwiększe rozszerzenie. Stosowanie się do przepisów w niem zawartych, znakomicie wpłynąć może na zmniejszenie się śmiertelności i zachowanie zdrowia, i dlatego polecamy je najmocniej publiczności wszelkich klas i stanów.

O jedno tylko prosilibyśmy szanowną redakcją, to jest o ścisłe przestrzeganie czystości języka i pisowni. Pomijając kilka błędów drobnych, wymieniamy jeden główniejszy: wyraz łaciński *liquor* pisywanym jest przez *f likfor*, co razi niezmiernie oko nawykłe do powszechnie przyjętej pisowni (likwor). Stosowanie się do ucha nie zawsze dobrze wypada, idąc bowiem za słuchem, moglibyśmy pisać *fhut* zamiast *wchód*, co się wskazuje, dzięki Bogu, nie praktykuje.

Czasopisma nasze oddawna już roztrząsały pobieżnie kwestyą oświaty ludu, a w ostatnich czasach szczerze się nią zająwszy, poświęcały jej obszernie artykuły, jużto objawiając swe zdanie we względzie możliwości jej rozwoju, już też dając wiadomości o nowo powstających szkołkach i ochronach w różnych stronach kraju.

Obszernością swą jednak i doniosłością przewyższa inne artykuł zamieszczony w Nrze 4 *Dziennika Powszechnego*; samo za ogłoszenie go w piśmie urzędowym, upoważnia inne dzienniki do objawiania zdań swoich śmiało i wyczerpywania do dna kwestyj krajowych.

Artykuł ten tem się wybitnie odróżnia od innych tego rodzaju, że uderza otwarcie na dotychczasowy system oświaty ludowej, skutkiem którego ona w niemożliwość dotąd zostaje, i to do tego stopnia, iż za ledwie jedną sześćdziesiątą ósmą część ludności pobiera elementarne wychowanie; gdyby zaś obrachować ściśle ilość rzetelnie z niego korzystających, to powyższy stosunek zmieniłby się jeszcze znakomicie na niekorzyść oświaty ludu.

Autor artykułu w *Dzienniku Powszechnym* zamieszczonego, wykazuje jasno niedołączność dotychczasowej administracji szkółek wiejskich i ich fundusów; co większa; wyznaje nawet szczerze, o czym już dawno opinia publiczna orzekła, że wychowawców jedyne u nas zakładu w Radzyminie, kształcącego specjalnie nauczycieli elementarnych, nie uważa za odpowiednich na nauczycieli wiejskich i projektuje ażeby w przyszłości gminy same przedstawiały kandydatów na nauczycieli swych szkółek.

Za mały zakres sprawozdania naszego nie pozwala nam w całej obszerności ocenić wszystkich szczegółów w ósmio-szpaltowym artykule *Dziennika Powszechnego* zawartych. Wszelako wiele jego uwag trafia w zupełności do naszego przekonania, jakoto: zaprowadzenie przymusowego posyłania do szkółek dzieci od 8 do 13 lat mających; termin obowiązkowego ich uczęszczania, zgodny z wyrzeczeniem b. kommissji edukacyjnej (z uwagą że w porze letniej we święta, po południu, nie *wedle tego jak okoliczności pozwolą*, ale *koniecznie i wszystkie* dzieci do szkółek dla przypomnienia nauki zgromadzać się powinny); rozkład ciężarów szkolnych na wszystkie gminy bez wyjątku; zniesienie szafunku fundusów szkolnych w sposób centralizacyjny, równie jak odrębności szkółek ewan-

gelickich, rozpościerających niemczyznę ze szkodą kraju; oddanie nadzoru szkółek miejscowym radom gminnym, a ogólniejszej nad nimi kontroli radom powiatowym; polepszenie bytu nauczycieli. Wszystkie te uwagi, zakończone znaną a wielką prawdą, że lepiej poświęcać krocie na wnoszenie szkół dla ludu, niż kiedyś wydawać miliony na jego więzienia, powtarzamy, w zupełności trafiają do naszego przekonania, i życzymy tylko, aby przyjęte przez władzę, jaknajrychlej w życie wejść mogły.

Wszelako aby oświata ludu rychło a błogie przyniosła owoce, potrzeba koniecznie ażeby cały ogół wykształcenijszych rodaków zajął się nią gorliwie. Bogata ta, ale dotąd nietknięta niwa, potrzebuje wytrwałych, niemordowanych pracowników, którzyby poznawszy jej ważność, całymi siłami wzięli się do dzieła, nie zważając na ogromne przeszkody, bo te usilność i poświęcenie przewyciężyć muszą.

Zamierzony cel będzie zwicniętym, jeżeli nie znajdzie poparcia w sercach obywateli wszelkich stanów, miłujących ziemię ojczystą; jeżeli ogół nie przejmie się przekonaniem, że tylko przy powszechnej oświacie pomyślność kraju spocznie na niewzruszonych posadach; że dopóki dobroczynne jej światło nie rozjaśni grubej ciemnoty otaczającej masy, dopóty wszystko co przechodzi zakres codziennego ich życia, zaspokojenia zwierzęcych potrzeb, będzie dla nich obojętnym; że dopóki wreszcie oświata nie ogarnie ludu, dopóty on nie otrząśnie się ze zgubnych wad lenistwa, pijaństwa, uporczywości, i zawsze będzie igraszką w rękę pierwszego lepszego pokątnego doradcy, który rozbudzając w niemowlęcych umysłach uśpione namiętności, wyzyskiwać je będzie ku swoim celom osobistym.

Są między nami tacy, którzy mniemają że chociaż oświata ludu należy do najżywniejszych warunków życia i pomyślności narodu, wszelako nie jest tak pilną i konieczną, aby dziś wszelkimi możliwymi środkami ją rozwijać, i twierdzą że ją można do przyjaźniejszych chwil odłożyć. Oględniejsi jednak inne w tym względzie mają pojęcie. Jeżeli w zwykłych kolejach życia narodu oświata powinna przodować jego rozwojowi, to tém bardziej w chwilach, kiedy naród pragnie otrząsnąć się z gnusności, ospałości i nową życia rozpocząć erę.

Jakże głowa może być zdrową, jeżeli całe ciało cierpi? Jakże może się rozwinać pomyślność narodu, jeżeli lud, najlichnieszczę część jego, pozostanie w ciemnocie i odrętwieniu?

Wielu z nas, zaprawdę, ma bardzo opaczne pojęcie o ludzie. Jedni widzą w nim wszystko złe, inni upatrują wszelkie doskonałości; mało zaś kto zna go rzeczywiście, ze wszystkimi cnotami i wadami, jakie ten bogaty acz surowy materyał w sobie zawiera.

Jedni i drudzy za daleko się zapędzają: wady szpecące nasz lud istnieją i istnieć muszą, bo on nie wie nawet że one są wadami; przymioty są także, ale instynktowe, wrodzone, nierozwinięte, a i o tych podobnie on nie wie.

Chcąc znać swe wady i przymioty, potrzeba przede wszystkim znać dobrze co złe a co dobre, potrzeba mieć jasne pojęcie rzeczy i sąd własny: a przecież sądu tam zdrowego być nie może, gdzie niema najpierwszych wiadomości każdemu człowiekowi niezbędnie potrzebnych. Jak może ktoś pracować dla dobra ogółu, kiedy o niemu nie ma najmniejszego wyobrażenia, kiedy nie poczuwa się do tego, że jest jego częścią, kiedy nawet nie wie że jest obywatelem kraju?

Obowiązki więc wielkie, święte ciężą na wszystkich współrodakach świetlejszych. Wyrwać miliony współziomków z ciemnej gnusności, z grubej niewiadomości; zamienić ich w użytecznych członków społeczeństwa, pracujących nie z namowy lub przymusu, lecz dobrowolnie około własnego dobra; świecić dobrym przykładem; wpływać zbawiennie na wykorzenie wad zastarzałych; szerzyć oświatę i moralność i dźwigać wspólnie ciężary; nie obwiniać nikogo o gnusność i powolność w działaniu na tej drodze, ale pociągnąć słowem miłości tych, co wolniejszą postępują krokiem; poruszyć takich co z miejsca nie ruszyli,—oto praca szlachetna, wspólna, od której nikt wyłączać się nie powinien, ktokolwiek szczyć się imieniem syna tej ziemi.

Kończąc sprawozdanie nasze, nie możemy pominąć jeszcze jednej kwestyi, to jest oświecenia gazowego w naszym mieście.

Rzecz to wprawdzie podrzędna i dość daleka od spraw ogólnych, nie tak wszakże daleka, aby o niej wcale nie wspominać, boć codzien z nią my biedni mieszkańcy miasta do czynienia mamy.

Już to towarzystwo dessauskie uwzięło się aby polskie miasta oświecać; znać tu nieprzparty duch germanizmu, który sili się na to, żeby nieść swo-

je światło na Wschód. Wszelako światło to jakoś bardzo nierzadko wygląda i nie niesie wcale zaszczytu jego krzewicielom. Kraków podobnie jest pod opieką tegoż samego towarzystwa; to też i on oświecenie ma bardzo nędzne, i zdarzało się nawet kilkakrotnie, że płomyki gazowe, wyprawiając jakieś konwulsyjne podskoki, po niewielu podrygach zagasły i miasto w ciemności zupełnej pograżyły. Warszawa nie doświadczyła wprawdzie tego losu, wszelako, pomijając zbyt szerokie rozsadzenie latarni, płomyki w nich tak smutne, tak melaucholijne, że dosyć wyjść na ulicę, aby mimowolnie uleść temu czarnemu usposobieniu i wpaść w zły humor. W istocie nie wiadomo dla kogo one się palą, gdyż w najweselszych nawet chwilach, przechodząc środkiem ulicy, można bezpiecznie wziąć kupę błota za punkt oparcia dla nogi i głęboko w niemu ugrzęznąć; zdaje się więc że goreją dla własnej rozrywki i dla okazania cudzoziemcom, że Polacy mają coś u siebie przedrzeźniającego gaz.

Dotąd, niestety, nie wynaleziono szczypców do objasniania latarni gazowych, zdaje się więc iż zanim to nastąpi, nie byłoby wcale od rzeczy na każdej latarni gazowej zawiesić dawną lampę argancką z rewerberem, coby przyczyniło się znakomicie do zawstydzenia wynalazcy gazu i okazania jak odkrycie jego było niepraktycznym. Ponieważ zaś, jak się zdaje, ekonomia miejska nie zgodzi się na ten projekt, więc zwracamy uwagę odezwać do Towarzystwa dessauskiego, iżby biorąc za oświecenie miasta piękne pieniądze, również pięknym światłem w zamian raczyło nas obdarzać, i oszczędziło nam na drugi raz nieco atramentu, który w tej sprawie przelać byliśmy zmuszeni.

WYCIECZKA DO GDAŃSKA.

przez

Deotymę.

(Dalszy ciąg.)

Nakoniec pojazd stanął. Sądziłyśmy że jak zwykle zajedziemy przed bramę hotelu świetnie oświeconą, z której służba wybiegnie na spotkanie gości; gdzie tam! Widzimy na uboczu domek bieluchny, wpół ukryty wśród drzew szumiących, ale zupełnie ciemny, cichy jak kościółek, zamknięty jak warownia.—Więc to jest hotel? pytamy zaniepokojeni.—A czemużby nie miał być hotel? odrzeczła woźnica, nieco obrażony w swojej dumie Malborczyka.

Ledwo trafiwszy do drzwi w ciemnościach, po długim bezskutecznym dzwonieniu i szturmowaniu, mogliśmy sądzić że ten budynek jest zaczarowany, co nawet dalsze wypadki zdały się potwierdzać; bo oto kilka światel błysło w domku jednocześnie, tak iż wszystkie okna w łunie stanęły; zielone drzwi się rozłtwarły; prześliczne dziewczę, choć tak nagle zbudzone, wybiegło do nas z uprzejmą wesołością; zaprowadzono nas do ładnego mieszkanca, i wkrótce, pomimo późnej nocy, znalazła się herbata ozdobiona zimną wieczera, wszystko właśnie tak, jak się w powieściach zaczytanych dzieje.

6 sierpnia.

Po całodziennym wczorajszym podróży, wstaliśmy nie bardzo wczesnie; odsunawszy błękitną firankę, onie miałam z wrażenia: pod oknami naszymi błyszczwały od rosy i słońca wierzchołki drzew otaczających domek, ścięte płasko jak szpaler, dla odślonienia oknom piętrowym widoku. Po za tą zielenią, na obszarze tonącym w świetle i pogodzie, rozciągał się w całym blasku, w całej grozie, w całym majestacie, jak krew czerwony, jak zdrada straszny, jak przemoc wielki zamek malborski. Kto go nie widział, ten nigdy nie będzie miał pojęcia o potędze Krzyżaków, ten nigdy dokładnie nie zrozumie dziejów naszych, od Konrada mazowieckiego, do Kazimierza Jagiellończyka.

Widziałam zamek heidelbergski, ów zamek zwany *Królem zwalisk*, i uwielbiłam jego ogrom i przepych, ale tam wszystko dla mnie było nieme; trzeba być z nad Renu, aby dosłyszeć wymowę heidelbergskich kamieni; zamek malborski pod względem budowy może być porównany do kolosu z nad Neckaru; pod względem położenia nie króluje wprawdzie na takich pysznych górach, pięknie mu jednak nad urwistym brzegiem Nogatu; lecz ze stanowiska duchowego, o ileż jest dla nas zrozumialszym! Przy tych wałach wyobraźnią widzę namioty Jagiełły, w tym ciemnym krużganku dostrzegam przesuwającą się trwożnie ponurą, pokutniczą postać Wincentego z Szamotuł; z pod zamku sądzę słyszeć brzęki kajdan ciężących na ramionach Witolda; a nad wszystkimi odgłosami, słyszę jak

echa tych murów powtarzają sobie jeszcze żelazno-żelazną pieśń Halbana.

Zanim zdążyliśmy nieco się odpakować i przybrać, nadeszła dwunasta z południa. Mając już do obiadu godzinę tylko czasu, trudno zapędzać się w oglądanie zamku, trzeba ograniczyć ciekawość na pomniejszych budynkach Malborge.

Ogrom zamku zasłaniał nam całe miasto, tak że nie wiedzieliśmy nawet gdzie go szukać; wszędzie fosy i szanice zagradzały dostęp; nakoniec dostrzegamy że wszyscy przechodzą przez bramę zamkową; idźmy tą drogą. Za mostem rzuconym na obronny rowie, ogromna brama, u góry zębata jak korona Cybeli, a jeszcze wyżej napiętrzona wieża, prowadzi do dziedzińca obszernego jak plac wojennych igrzysk; z trzech stron otaczają go trzy części zamku, a raczej trzy zamki; z czwartej odsłania się widok na wody Nogatu, bo tu już nie zdołano odtworzyć budowy, i tylko daleko ciągnące się zwaliska dowodzą, jak wielką jeszcze przestrzeń zajmowała. W środku dziedzińca znów fossa; na nięj most szeroki.

Nie szybko przechodziłam tędy; każdy szczegół więził moje oczy i usiłowałam, ale jeszcze napróżno, objąć myślą kształt gmachu; ogrom jego nadto rozrosły aby się mógł od razu w pamięci odrysować. Za mostem byliśmy już na drugim krańcu zamczyska; przebywszy jakieś drożyny spadziste, pełne rumowisk i rozwalonych arkad, spostrzegamy sędziwy kościół farny, a nieco dalej główną ulicę Malborge, noszącą cechy odrębne i powabne; jestto niby ulica Rivoli tutejsza, w takim jednak stosunku, jak średniowieczna mieszczanka do elegantki paryskiej. Domy tu ani starannie, ani wytwornie budowane, za to bardzo dawne; każdy na dole podzwignięty jest przez kilka filarów; po obu stronach idzie się nieustannie krużgankiem pełnym sklepów i ruchu. Jest tylko nieraz różnica w poziomie na którym nieprzezorna fantazyja domy ustawiała, tak iż co chwila trzeba po kilku stopniach schodzić albo wchodzić pod krużganek następujący.

Całą ulicę malowniczo zakończyła starożytna, porostami opuszona wieża, której wjazdowa brama otwiera się na wiejski, zielony krajobraz.

Pod filarami przyglądając się wyrobom malborskim, szukaliśmy widoków i opisów miasta, i rzecz dziwna, w mieście liczącym zaledwie ośm tysięcy mieszkańców, znalazło się z pół tuzina księgarń.

W połowie krużgankowej ulicy zabłysnął ratusz, prawdziwy klejnot sztuki budowniczej, niewielki, lecz silny, starożytny, lecz pelen młodzieńczej bujności, potężny, zimny a wystrojony, jakby postać skamieniałego Krzyżaka; wieżyczka na szczycie tak jest lekka, iż wydaje się piórem u jego hełmu.

Właśnie ratuszowy zegar ogłaszał pierwszą z południa; więc skierowaliśmy się napowrót do *Wielkiego mistrza*, gdzie już czekały zastawione stoły. Część gości obiadowała pod drzewami, część w ładnej salce, na której ścianach ryciny przedstawiały ciekawości malborskie; ale najpiękniejszym tam obrazem były otwarte okna, w których się rysował zamek. Do stołu zasiadły z nami wszystkie znakomitości miejscowe: komendant miasta, niby Zeus posepny; lekarz miasta, z wejrzeniem łagodnym jak Eskulap; architekt miasta, niby Apollo tego Olimpu, i kilku jeszcze bożków i półbożków, prowadzących rozmowę bardzo ożywioną, lecz rozumiałą tylko dla osób znających wszystkie drobne wypadki, drobne niezgody, drobniutkie przedsiębiorstwa i drobniejsze jeszcze sławy Malborge. Wśród obiadu uderzyła nas przyprawa, do której oceniania trzeba także być Malborczykiem: kotlety z gruszkami.

Przy wetach jeszcze dalekie lecz potężne huczenie zdziwiło nas i zmieszło: poznaliśmy ryk burzy. Niebo dotąd radosne, w jednej chwili napręgowało się przykremi barwami; chmury nalane żółtym ciężarem, jak widma wylatywały z pod widnokręgu; słońce jeszcze oświecało zamek, lecz światłem fałszywym, a błyskawica na czerwone mury rzuciła swoją siną błękitność.

Mogła burza przyjść dla nas niestosownie, jak w tych ostatnich godzinach, co nam pozostawały na obejrzenie zamku? Może duchy Krzyżaków, wiedzące iż mam kiedyś je opisać, o ile zdołam *prawdziwie*, a więc nie najkorzystniej, chciały nam zamknąć próg swego dawnego siedliska, otaczając go tą grozą żywiołów. Nie daliśmy się przecież od tego proggu odstraszyć, i jaknajchężej wybiegliśmy, w nadziei że nim burza się rozwinię, zdołamy wszystko obejrzyć; ale chmury pędziły z tak bezprzykładną szybkością, iż zaledwie weszliśmy na dziedzińiec zamkowy, już nad nami zaszumiała ulewa.

Burza nad zamkiem.

Dopóki strumienie wody nie przecięły drogi, łatwo jeszcze było wrócić do mieszkania, lecz postanowiliśmy, na przekorę burzy i Krzyżakom, w ich własnym zamku ją przetrwać. Chronimy się do sieni, będącej

teraz wejściem arsenału; tymczasem usłużny chłopczyk idzie szukać pierwszego przewodnika, tu bowiem dwóch jest przeznaczonych do oprowadzania po dwóch zamkach pokazywanych wędrowcom. *Zamek wyższy*, obrócony ku miastu, zawiera kościół, kaplicę, kaplicę pogrzebną św. Anny, oraz dawne mieszkania komturów, dziś zamienione na wspaniałe spichlerze. *Zamek średni*, panujący nad Nogatem, perła całej tej budowy, zamyka mieszkanie wielkich mistrzów i sale gościnne. Tę część król i Prusy wspólnym kosztem odnowiły. Jakże silny, jakże bajecznie bogaty musiał być ów zakon, kiedy na podźwignienie trzeciej tylko części jego mieszkania, cały naród składać się musiał!

Nakoniec *niższy zamek*, zwany *Vorburgiem*, dawniej stanowiący właściwy klasztor z celami zakonnych rycerzy i mnichów, dziś wygląda na okazale koszary; niema tam nic godnego widzenia; dla starannego jednak utrzymania murów, urządzone w nim arsenał, pocztę i tym podobne zakłady, dla których miejsca w tych obszarach nie braknie.

Myśmy się właśnie do Vorburgu schronili, gdy nadszedł uprzejmy przewodnik; poszliśmy za nim do kaplicy św. Anny, gdzie się niegdyś odbywały nabożeństwa żałobne. Jest ona cała jakby ogromna brama, pysznie sklepiena, z wejściem i wyjściem na przestrzał wyciętym i tylko kratą zamykanym. W zagłębieniu po lewej stronie widać miejsce ołtarza, a na ziemi trzy kamienie grobowe, trzy kamienie wpół starte, deptane stopą przechodniów! a jednak pod nimi ileż leży dumy, zabiegów wielkości, marzeń chwały! Tu spoczęli: Dietrich von Altenburg, Winryk von Kniprode i bohaterski Henryk von Plauen. Aż dreszcz przechodzi, gdy się wspomni że ci, którzy świat ledwie wystarczał, teraz we trzech tak drobną przestrzeń zajmują; to też aż straszno stopę postawić na tych głazach, jakby drgających nieutuloną skargą.

Uniesieni prawie przez wicher zataczający się w kaplicę i bryzgający ogromnymi kroplami, wyszliśmy drugą stroną na rycerski cmentarz, wybrukowany grobowcami, prostymi kamieniami, otwarty na piękny widok miasta ścielącego się pod nim, jak jaskrawa droga życia ścielące się aż do progów śmierci. Tam po kilkunastu schodkach drewnianych, przyczepionych u małych drzwiczek, bo wielkie podwoje są zamurowane, doszliśmy do sali gdzie się zbierała kapituła, i właśnie w tej chwili „z marienburskiej wieży zadzwoniono.“ Na odgłos tego szpiżu, sala się dla mnie zaludniła; białe ściany dziwnie mi się w oczach pofalowały, jakby tłum białych płaszców; i podśledzałam gwar rzeszy obierającej nowego mistrza; i owe sławne *Drzwi złote*, prowadzące z sali do kościoła, wstrząśnięte wichrem, rozwarły się; i zdało mi się że przez te drzwi Litwin, obrany mistrzem, wchodził do przybytku z szyderym uśmiechem, i grzmot się odezwał szyderyczko, niby głos całej Litwy.

Lecz po chwili wielkoblaskawica rozświeciła salę

od chmur zaciemnioną i rozświetlała moją uludę... znów dostrzegłam przewodnika brząkającego pękiem kluczy, dostrzegłam że na owych drzwiach niegdyś złotych, dziś ani cętki złota niema, i przez odarte progi posępnie weszłam do kościoła. Tu odżyliśmy przy wielkim ołtarzu, gdzie nam pokazano obraz Panny Maryi, ustrojony w bogatą sukienkę; sukienka ta ma dla nas wartość nieocenioną: jest to dar królowej Jadwigi, jej własną ręką wyszyty i Krzyżakom ofiarowany, może na owym sławnym zjeździe, na którym królowa-bohaterka stała się jeszcze prorokinią.

Na stallach i ścianach malowania bardzo starożytne zachowały się niewyraźnie a jednak jaskrawo, jak przeblask snu, na wpół zapomnianego. Pod chórem stoi

knęte w zakrystyi, uderzyły na nas te białe pociski. Mnie ich szturm ucieszył; mogłam myślą przenieść się w początek piętnastego wieku i wyobrazić sobie oblężnicze wystrzały najpierwszych dział polskich, które, tak jak grad dzisiejszy, przy tychże murach latały.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Klementyna z Tańskich Hofmanowa.

(Dokończenie.)

Jan Kochanowski w Czarnolesiu, do którego, jak się z Pamiętników przekonywamy, plan oddawna i w kraju jeszcze był nakreślony, notaty w kraju zebrane, Jan Kochanowski mówię, acz z tej własnie i to nawet dość późnej epoki, jest jeszcze lubem, chludnym świadectwem tej duszy, w całej pełni nieuronionych jej skarbów. Prostota serca, pogoda wyobraźni, wielka niekiedy podniosłość myśli, z nieporównanym wdziękiem kreślone obrazy domowego pożycia, pracowicie, umiejętnie i sumiennie zebrane objaśniające przypisy, w całym dziele piętno wyższej jakiejś, lepszej tęsknoty, wszystko to stawia według nas „Jana Kochanowskiego“ w rzędzie najcenniejszych prac autorki.

Pismo święte, własnymi uwagami opatrzone, *Książka do nabożeństwa dla Polek*, acz w niejednym miejscu noszą już cechę owego zubożenia i jednostronności, o których nadmieniliśmy, a o których niestety dłużej nam jeszcze mówić wypadnie, śmiało mimo to do skarbów domowych liczyć się mogą.

Święte niewiasty są dowodem chwilowego jakiegoś nastroju, przypadkowego w umyśle zwrotu, nie harmonizującego z ogólnym usposobieniem autorki, którego głównie cechą była pogoda i proste pojęcie powszednich obowiązków. Te to cechy i własności, wyteżone cokolwiek usiłowaniem w ich utrzymaniu, groziły nieledwie przejściem w rutynę, pedanterję, mierzność. Otóż takiemu wrodzonemu autorce nastrojowi ducha, nie odpowiada usposobienie z jakim swoje „Święte niewiasty“ kreśliła. Mistycyzm, ascetyczne uniesienia, nie stanowią gruntu i barwy jej pobożności; były one tylko chwilową jakąś naleciałością: chore tęsknotą piersi, zacerpnęły bez

wyboru powietrza, niekoniecznie zdrowego także.

O ogólnym niemal zwrocie umysłów, który w owym właśnie czasie widocznym być poczyna, a od którego nie uchylił się i umysł autorki naszej, kiedyś bezstronny badacz sprawiedliwy sąd wyda. Dziś jeszcze i na to zawczasie.

Karolina, najslabszy z utworów Hofmanowej, jest najwymowniejszym może dowodem, że wiele zagadnień życiowych, wiele objawów ducha ludzkiego, wiele tajemnic uczucia, wiele źródeł upadku lub podniesienia przez namiętność, obcemi zawsze były duszy autorki. Na tej nieświadomości, na tej ograniczonej sferze, w której zamknęły się jej pojęcia i uczucia, po za którą ni badawczą myślą, ni samopas



SIEDZNE DLA W. MISTRZA POD CHÓREM W KOŚCIELE MALBORGSKIM.

pyszne siedzenie dla Wielkiego mistrza, a za nim tajemnicze wyjście, przez które mógł sam do spraw ziemskich powracać. O niesłychanej grubości murów mogliśmy się przekonać, gdy wprowadzono nas do zakrystyi; cała jest wykuta w głębokości muru, kilka osób stanąć w niej może; w głębi zawiera wielką, w kształcie ołtarza wyrobioną szafę, z ubraniami kościelnymi. Musiała być postawiona za panowania polskiego w Malbörgu, bo na niej złotymi głoskami błyszczą jeszcze napis polski, wymieniający tam zamknięte ornaty.

Zdaje się że duchy Krzyżaków tém bardziej się rozgniewały, gdyśmy polski napis czytali, bo w téjże chwili żółta chmura rozdarła się i sypnęła olbrzymich rozmiarów gradem. Przez okrągłe okienko na wpół odem-

blądzącą wyobraźnią, ni nieokreślona serca żądzą, ni wreszcie intuicyą nie sięgnęła, na tej powiadam sferze, której granic nie rozszerzyła dla niej ni boleść, ni miłość, z której nie wyprowadził jej ni trud spracowanego umysłu, ni żadne nagłe, potężne objawienie,—zyskała może jej osobiste szczęście, zyskała łatwość pożycia, stracił jednak niezaprzeczenie jej talent pisarski, a stracił tam mianowicie, gdzie autorka szerszy sobie zakres naznacza, wszechstronniejszego poglądu potrzebuje, na trudniejsze stanowisko się wznosi.

Umyslnie na sam koniec zostawiliśmy sobie wzmiankę o tych dziełach, ktorými cały zakres powołania kobiecego objąć usiłuje, aby w jednym nieprzerwanym ciągu przekonania nasze w tym względzie skręślić. Do tych dzieł zaliczamy *Pamiętkę po dobrej matce*, choć względem iż to było pierwsze dzieło poczynającej autorki i że to była pierwsza książka polska myśl ku ważności wychowania kobiet kierująca, względem ten powinien wszystkie ujemności pr z e w a ż a ć, wszystkie niedostatki pokrywać. W tym razie przeto mówimy głównie o *Krystynie* i *O powinnościach kobiet*.

W ramach w jakich zamknąć się musi pobieżna ta wzmianka o życiu i pismach ś. p. Klementyny z Tańskich Hofmanowej, zmieścić się nie może gruntowny, głęboki pogląd na owe tak bardzo dziś żywotne i ożywione kwestye powołania i wychowania kobiet. Kwestye te, choć tyle razy przywoływane, choć bez zaprzeczenia, widomie czy niewidomie, na dnie każdej innej prawie kwestyi spoczywające, choć tak namiętnie nieraz poruszane, choć tyle wreszcie umysłów zaprzatające,—nie doszły przecie do tego stopnia dojrzałości, by choć jedném piórem gruntownie, szczerze, bezstronnie, jasno i spokojnie obrobione były.

Dla zastąpienia niedostatecznych pod tym względem prac Hofmanowej, na dostateczniejszą, doskonalszą nikt się dotąd nie zdobył. Tym argumentem odpowiadają najczęściej ślepi jej zwolennicy, ktorzy każda wzmiankę o najmniejszej w jej pismach ujemności, za niebezpieczną z u c h w a ł o ś ć uważają. Na ten argument jest przecie co odpowiedzieć, a jak potrafimy, najlepiej odpowiemy.

Odpowiadamy tedy, że prawdą jest, niezaprzeczoną prawdą, iż dzieła w naszym języku i dla naszych kobiet pisanego, któreby zawierało wszechstronny pogląd na ich stanowisko i powołanie, ze względem na dobrze pojęty duch czasu, na modyfikacyą pojęć i wyobrażeń, jaką sam postęp przynosi, dzieła traktujące tę kwestyą z całą powagą, z całą głęboką a subtelną znajomością charakteru, zdolności, miejscowej barwy (na którą tyle ważnych składało się rzeczy), z całą znajomością obecnych potrzeb, wyjątkowego położenia, a ztąd wyjątkowych odcieni i obowiązków,—dzieła zawierające to wszystko i wie-

le innych rzeczy, takiego dzieła rzeczywiście, niezaprzeczenie, nie mamy niestety! Obok tego szczerego wyznania, pozwalamy sobie tej jednak wzmianki i tego małego objaśnienia, że nawet niema nadziei żebyśmy je mieli dopóty, dopóki nie wyzwolimy sądów naszych z kłępującej je bezmyślnej rutyny, dopóki oczy zamykać będziemy na światło jakie nam zdobycze wieku niosą, dopóki będziemy chwalić stare, dlatego *jedynie* że stare, lękać się nowego, dlatego *jedynie* że nowe.

Nikt zapewne w tym przedmiocie od Hofmanowej lepszego dzieła nie napisał; rozejrzenie się jednak

czepanie kwestyi, ani nawet o dotknięcie wszystkich punktów spornych; idzie nam o to jedynie, by te kilka słów, do ktorých powiedzenia nas powołano, nie przyczyniło się do zamęcenia i tak już dosyć zamęczonych w tym względzie pojęć, do ugruntowania aż nado niestety wkorzenionych przesądów i uprzedzeń. Bezwzględne uwielbienie dla wój wspomnianych pism autorki, ślepa w jej słowa wiara, niewolnicze do życia ich stosowanie, gwałtowne, zacięte wtlaczanie siebie lub innych w formy przez nią narzucone, wydają nam się właśnie skutkiem owych przesądów i uprzedzeń. Według nas słowa jej o kierunku wychowania i powołania kobiet wy-

rzucone, w żaden sposób ewangelią być nie mogą; raz dlatego, że wtedy już gdy wypowiedziane były, grzeszyły jednostronnością i niedostatkami wyższego poglądu; powtóre, że jakiegokolwiek, mimo tych ujemności, miały i mają dotąd zalety i zasługi, w żadnym jednak razie na dziś dostateczne i wystarczające być nie mogą, bo czas idzie naprzód, upłynęło go już sporo, a do tego nasza epoka jest jedną z tych, w ktorých każdy odstęp czasu przeważnie odznacza się odmianami, przeważnie przynosi w pojęciach modyfikacye.

Jednostronnością, według nas, w Hofmanowej, wyrażającą się w płodne znów fałszy, jest to, że nie kładąc dostatecznej wagi na jasno wydobyte i wyraźnie wskazane *przyczyny*, zbyt drobiazgowo, zbyt pedantycznie zajmuje się *skutkami*, a w takim traktowaniu rzeczy maleje cały pogląd, śc. enia się sfera wyobrażeń, sam cel nawet mierzchny, jeżeli nie zupełnie karleje. W owym dziele „*O powinnościach kobiet*,” mniej może poświęcić można było rozdziałów szczegółowym przepisom ochędóstwa i porządku, powtarzanym zaleceniom dobrego i jednostajnego humoru, drobiazgowym zachętom do oszczędności i t. d. Wszystko to są rzeczy ważne, konieczne, nie zbędne w powołaniu kobiet; ale są one raczej próbą, świadectwem mniej lub więcej rozbudzonej, rozwiniętej, podniesionej i zdrowej duszy, a nie jej głównym założeniem i celem. Kobieta myśląca, rozwinięta, mająca uczucie piękna, rozumiejąca siebie i swój czas, będzie niezawodnie roz-



WNĘTRZE KOŚCIOŁA ZAMKOWEGO OD WIELKIEGO OLTARZA.

szczerze, śmiało, bezstronnie w tém co jej dzieło przedstawia niedostatecznego, ujemnego, jaką grzeszy jednostronnością, jakim grozi fałszem, rozejrzenie się takie, może właśnie rozbudziłoby myśli, zrodziło pojęcia, stworzyło wyobrażenia mające być podstawą, początkiem, zadatkami, choćby maleńkim przyczynkiem do owego *lepszego!* Zacznijmy się śmiało rozpatrywać w owych niedostatkach przeszłych zasobów, a to będzie pierwszą i najlepszą wskazówką tego, co dziś gromadzić, w co się na przyszłość zaopatrywać trzeba. Tutaj i dzisiaj kilka tylko słów w tym względzie powiedzieć możemy, bo nie kusimy się ani o wy-

garnioną, porządną, oszczędną, a humor miły i jednostajny, bez wysień i nałamywań, przyjdzie sam z siebie o tyle, o ile nietłumione władze dorosną naznaczonej im od Boga pełni i harmonii, o ile bogactwo serca, rodzaj zdolności pozyska zastosowanie, o ile stopniowemu doskonaleniu się wyższe założone będą cele, szersze otwarte horyzonty.

Bojąc się przekroczyć granice początkowem założeniem naszym zakreślone, na zakończenie to tylko jeszcze, i znów pobieżnie bardzo, powiemy, że *poszanowanie indywidualności*, owa wielka idea, która coraz jaśniej z zamierzechu wieków i fałszów, z kałów

samolubstwa i przesądów na jaw występuje, owa idea przez autorkę Krystyny i dzieła o powinnościach bardzo słabo, że nie powiemy wcale pojęta nie została.

Wyglądane też w przyszłości i pożądane dzieło o stanowisku, powołaniu i wychowaniu kobiet, o tyle, zdaniem naszym, odpowie celowi swemu, o tyle w założeniu samém przewyższy poprzedzające próby, o ile poszanowanie indywidualności weźmie za podstawę.

Z. J. A.

ZWIERZĘTA.

(BAJKA).

W jednym leśnym królestwie rzecz się taka stała: Z rodu lisów, zajęcy, wilków i niedźwiedzi Po jednym najmędrszym rada się zebrała, By śmierć temu zadać co ich ciągle biedzi I nastaje na prawa bytu zwierzęcego. Tym wielkim winowajcą, według ich mniemania, Był strzelec oka nadzwyczaj celnego. Zaczęły się obrady i rozmowienia:

Zając krzyczy, by uciekać,
Lis, podstępem strzelca zgładzić,
Wilki, by czasu nie odwlekać,
Wprost rozszarpać, nie nie radzić!
Niedźwiedź zaczął się szamotać,
By mu kości pogruchotać.

Kiedy każdy inaczej, z wielką złością prawił,
Lis zajęcia rozszarpał, a lisa wilk zdławił,
Niedźwiedź wilka zadusił, jeden się ocalił,
Ale nadszedł wnet strzelec i w łeb mu wypalił.

Nadesłano nam z Krakowa następującą odezwę,
z prośbą o umieszczenie.

Jeżeli która literatura, to nasza, uboga jest w żywoty znakomitych ludzi, bądź na polu piśmiennictwa, bądź na jakimś innym w zawodzie pracy narodowej. Oddawna różne przedsiębrano usiłowania ku ich zebraniu lub ku ich dopełnieniu, ale się całkowicie nie powiodły, bo były cząstkowe, bez odpowiednich środków i zapasów, a nadewszystko, że praca około tego wychodziła od pojedynczej osoby, nie mogącej pokonywać różnych trudności ku spełnieniu celu. Wiele wprawdzie zrobiono, ale więcej jeszcze do zdziałania pozostało.

Jak ważną są rzeczą w historii życiorysy pisane obszernie, z całą prawdą i wykazaniem pobudek i sprężyn, które w życiu grały przeważną i kierowniczą rolę, jak pożyteczną są częścią piśmiennictwa ku zbudowaniu społecznych nam i przyszłych pokoleń, mianowicie tym końcem, aby ducha narodowego utrzymać w podniesieniu dla potęgowania się w nowe przyszłości zawody, o tym zdaje się wielu i wiele przekonywać nie potrzeba, ani na to tu czas i miejsce pozwała. Dawno już powiedziano:

„Imiona tych mężów, którzy (jużto przez ważne odkrycia, jużto przez godne narodowych dzieł pisania, jużto przez wydoskonalenie języka, już nakoniec przez cześć i hojne wsparcie, które ludzie wysokich dostojenstw i obfitych dostatków oddawali naukom) dobrze się zasłużyli ojczyźnie, warte są aby były z wdzięcznością wspomniane i zasługują na zalecenie potomności, aby tym sposobem sława ich przekazana była wiecznej pamięci. Godni są tego i inni rodacy nasi, którzy najwyborniejsze plody dowcipu ludzkiego narodowi i wszystkim dostępnymi uczynili; godni są, którzy bogacąc literaturę ojczystą, umieli w pracach swych zatrudniać umysły, zwracać uwagę i zachęcać w tym wszystkim, co naukom, co krajowi przynieść mogło pożytek.“

Wyżej powiedziałem, że wiele zrobiono, ale więcej do zrobienia pozostaje; postanawiam więc i ja wziąć się do pracy we wspomnianym kierunku, t. j. w zbieraniu żywotów, szczególniejszych jeszcze żyjących osób, lub za naszych czasów zmarłych. Nie zamierzam jednak wypełnić braku jaki czuję, daleki będąc od zarozumienia—czas i praca wiele dokonać może. Ale do zamierzonego celu postanawiam iść odmienną drogą, aby dokładniejszy i zupełniejszy osiągnąć skutek. Gdy bowiem dotąd ten lub ów literat z małych zapisków lub wieści, a w ogóle ze śladów jakichś zgrupowań rysy do żywotu i czasem je zdolał miejscami z domysłu wypełnić, a czasem musiał poprzestać na kilku urywkach,—ja zamierzam zaprosić ku tej pracy wszystkich tych, którzy jakimkolwiek sposobem przyczynić się do niej mogą, nie dlatego aby zachodów i pracy własnej oszczędzać, ale raczej kwoli temu, aby pewne i pełne mieć materiały. In-

aczej bardzo wątpliwe byłoby moje postanowienie. Tak więc krewny, znajomy, przyjaciel zasłużonej osoby, więcej i daleko dokładniejsze będzie mógł podać wiadomości stosunków związanych w pewną całość, a co większa i scharakteryzowanych żywotnie.

Wypowiedziawszy zamiar mój i drogi do niego prowadzące, oświadczywszy iż myślą jest moja po zebraniu materiałów wydawać „Słownik żywotów zasłużonych w literaturze polskiej mężów“ poszytami, upraszam tych zasłużonych mężów, dziś żyjących, aby mi, jeśli to być może, swe autobiografie, albo krewnych, przyjaciół i znajomych ich, aby biografie tychże, (bądź żyjących lub zmarłych już) nadsyłać raczyli. Upraszam dalej i o to uczonych mężów, aby mi różne dopełnienia nadsyłać mogli do tych żywotów, które do dawno ubiegłej przeszłości naszej należą. Słownik ten bowiem chciałbym jaknajkompletniejszym uczynić.

Zawiadamiając o tem, upraszam o współudział jaknajlaskawszy i oczekuję na materiały, a później zawiadomie o czasie sposobie i warunkach tego wydawnictwa.

Upraszam wszystkie redakcje pism polskich, aby powyższej odezwie nie odmawiały miejsca w kolumnach swych i takową powtórzyć raczyły.

Franciszek Mikulski.

Adresować przesyłki proszę: Franciszek Mikulski w Krakowie, w księgarni J. Czecha, franco.

Zkąd brać na początek nauczycieli elementarnych?

Najpilniejsza z pilnych, kwestya wychowania ludu, we wszystkich już pismach czasowych polskich była przedmiotem obszernego roztrząsania. I my też w nrze 98 naszego Tygodnika poświęciliśmy jej oddzielny artykuł, którego autor, wychodząc z nader praktycznej zasady, że *jacybądź* nauczyciele zawsze są lepsi od *żadnych*, radzi zużytkować tymczasem to co jest na podoręczu, a zatem brać na przewodników szkółek wiejskich: organistów, oficjalistów różnych stopni, służących i rzemieślników dworskich piśmienniejszych i t. p., dopóki dobrze urządzone seminarya nauczycielskie nie dostarczą w tym celu ludzi normalnie wykształconych.

Nie przeczymy że z klasztorów tutaj wymienionych, w wyjątkowych przypadkach, wyjść mogą dobrzy nauczyciele wiejscy; zawsze jednak będą to tylko nieliczne stosunkowo wyjątki, a tu potrzeba ile możności działać od razu, jednocześnie i stanowczo. Organisci, oficjaliści i dworscy wszelkiego rodzaju, są to po większej części ludzie bez żadnego ukształcenia, zaledwo czytać i pisać umiejący; o ortografią u nich nie pytaj; znajomość katechizmu i moralności w smutnym zwykłym stanie; o historii i geografii, chociażby najściślejszej elementarnej, zaledwo posłyszeli; ale co najgorsza, przez całe swoje życie przywykli tak dalece poniewierać chłopami, a dzieci ich uważać za nieboskie stworzenia, że trudno po nich spodziewać się trafnego i ludzkiego obejścia z uczniami, a tem bardziej owego pobłażania, owęj miłości w sercu i na ustach, owego poświęcenia w czynie, które są nieodzownymi przymiotami każdego dobrego nauczyciela.

Zbyt wygórowane to może pojęcie o powinnościach nauczyciela wiejskiego, i wiemy że do tego bardzo jeszcze daleko, aby wszystkie szkółki elementarne obsadzone być mogły ludźmi powyższe przymioty choć w przybliżeniu posiadającymi; wybierając atoli pomiędzy różnymi środkami zaradczeni, chwycić się należy tego z pomiędzy nich, który najlepiej odpowiada celowi. Z tej wychodząc zasady, podajemy tu myśl nigdzie dotąd, ile nam wiadomo, niedotkniętą, która, jeśli tylko w praktyce okaże się wykonalną, dostarczyć może szkółkom wiejskim znacznego bardzo kontyngentu zdolnych, cierpliwych i sumiennych nauczycieli.

Wiadomo że w naszej społeczności klasa urzędnicza jest jedną z najuboższych, najgorzej materialnie uposażonych. Przy coraz wzrastających cenach najgłówniejszych potrzeb życia, etaty i płace urzędników pozostały, z małymi tylko zmianami, te same co przed laty trzydziestu. Obok tego w ostatnich czasach silnie rozwinięta konkurencya, nieogłędne ciśnienie się do zawodu urzędniczego, w mniemaniu że to jedyny, zarazem łatwy i zaszczytny sposób zarobkowania dla młodzieńca z tak zwanym *lepszym wychowaniem*, zatajowało tak dalece możność dostępowania się wyższej płacy, że dziś, bez przesady powiedzieć to możemy, trzy czwarte części urzędników w bardzo smutnym materialnie znajdują się położeniu. Wyjątkowo wprawdzie, pod opieką zdolności lub innych ubocznych względów, wystrzelił gdzieś pojedyncza jednostka ponad tłum rówieśników; ale ogół leniwym krokiem wlecze się na drodze kariery, której najwyższym szczytem bywa zwykle pensya roczna 3 do 4 tysięcy złotych wynosząca.

Według terażniejszego prawa emerytalnego (nie mówiąc już o spodziewanym zmniejszeniu lat służby), urzędnik po wysłużeniu lat 30, ma prawo do pensyi emerytalnej, wyrównywającej połowie jego płacy etatowej. Przypuśćmy że rozpoczął swój zawód mając lat 18, i że dostępując się kolejno, pobiera 3000 złotych, to doszedłszy do połowy emerytury, będzie miał lat 48 i 1500 złotych wysłużonej płacy. Otóż gdyby takim urzędnikom, będącym jeszcze w sile wieku męskiego, więc mogącym pożytecznie pracować, a przytem nawykłym do mozolnych zajęć biurowych i umiejącym poprzestawać na małym, wolno było, obok emerytury, przyjmować posady etatowe nauczycieli wiejskich, to nie wątpimy że w ich szeregach mnóstwo znalazłoby się ochotników.

Wróćmy się jeszcze do powyższego przykładu. Urzędnik mający 3,000 złp. płacy, gdyby pobierał 1,500 złp. wysłużonej emerytury, a obok tego 1,200 do 1,500 złp. pensyi nauczycielskiej, przy mieszkaniu, opale, kawalku pola i ogrodu, z rodziną swoją na wsi w nierównie korzystniejszym znajdowałby się położeniu, aniżeli poprzednio w mieście. Wiedząc przytem z doświadczenia, z jaką tęsknotą większa część urzędników, przepędziwszy całe niemal życie w pyłe biurowym przy zielonym stoliku, wzdycha do życia wiejskiego, jak pragnie orzeźwić się pod starość świeżym powietrzem, pewni prawie jesteśmy że wielu z nich skwapliwie chwyciłoby się tej myśli. Wszak codzienne przykłady uczą nas, że mnóstwo emerytów opuszcza miasta, kupując gdzie kolonijkę, jeżeli jest na to fundusz, lub dzierżawiąc ją, byle przepędzić resztę życia w wiejskim zaciszu.

Idzie więc tylko o to, żeby takim emerytowi zapewnić możność połączenia swej pensyi wysłużonej z płacą nauczycielską. Tam gdzie przewodniczący szkółce opłacany będzie z funduszu gromadzkiego lub przez dominium, nie przedstawiałoby to żadnej trudności; lecz gdzie posada nauczyciela elementarnej płatną jest od rządu, zachodziłaby sprzeczność z prawem emerytalnym, nie pozwalającą obok pensyi wysłużonej pobierać żadnej płacy etatowej. Mniemamy jednak iż ze względu na rzeczywistą i nagłą potrzebę, władza właściwa wyjednaćby mogła zmianę tego artykułu, *jedynie tylko na korzyść tych urzędników*, którzy po wysłużeniu części emerytury, oświadczą chęć przyjęcia posady rządowej nauczyciela wiejskiego.

Taki urzędnik wysłużony, lecz pełen jeszcze siły, pod względem naukowym i moralnym zawsze prawie odpowiedzialny obowiązkowi nowego powołania swego, a będąc sam człowiekiem starannie nieco wychowanym i gładszym, doznawałby większego poważania i od rodziców i od dzieci; co by mu zaś zbywało pod względem pedagogicznym, tego, przy rozgarnięciu, przez wprawę wkrótceby nabył. Rozumiemy się zresztą samo z siebie, że środek przez nas podany nie byłby także niczem więcej, jak tymczasowym zarządzeniem jednej z gwałtownych potrzeb chwili bieżącej, dopóki by stosownie przeistoczone seminarya nie wydały dostatecznej liczby teoretycznie i praktycznie uzdolnionych nauczycieli.

Rzucamy tę myśl w najsurowszym tylko obrobie, szczęśliwi jeśli podjęcie jej przez ludzi specjalnych do pomyślnego doprowadzi rezultatu; a mniemamy że w tym razie rady powiatowe i miejskie, przez wskazanie odpowiednich kandydatów na nauczycieli, niemałe wyświadcząby mogli usługi. L. J.



Panu A. M. w Chodorążku. Za nadesłane dwie poezje uprzejmie dziękujemy. Wkrótce postaramy się o ich wydrukowanie.

Ks. J. A. w Kalwaryi Żmudzkiej. Odpowiedź na zapytanie co do kodymek, mieści się w przeszłotygodniowej kronice naszego pisma.

Panu Hil. W. wdzięczni jesteśmy za przesłanie opisu i rysunku źródeł mineralnych w Busku; dla spóźnionej jednak pory, dopiero w roku przyszłym będziemy mogli zrobić z nich użytek.

Panu A. W. w Warszawie upraszamy, ażeby w interesie artykułu p. n. „Wynalazki i ulepszenia“ zgłosić się chciał do redakcyi Tygodnika.

Panu Władysławowi z Zacisza. Z trzech odebranych poezyj, żadna w piśmie naszym drukowaną nie będzie.

Panu W. J. w Krasnopolce dziękujemy za nadesłany szkic bramy i wałów przy wjeździe do Kamieńca podolskiego. Rysunek jednak zanadto jest niedokładny, abyśmy z niego zrobić mogli użytek.

KORRESPONDENCYA

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Z Galicyi.

.....Po kolei wypadło mi zajrzeć i do Lwowa, gdzie byłem już kilkakrotnie w tych miesiącach. Zwała mnie najprzód wystawa starożytności, nazwana wystawą starożytniczą. Kupiłem przewodnik wystawy, ale nie dowiedziałem się z niego wiele. Dzięki wymowie a uprzejmości jednego z gospodarzy, *Ksawerego Godebskiego*, zaznajomiłem się od razu ze wszystkimi pięciu salami. Była wystawa zajmująca, choć uboga w porównaniu z krakowską. Aparata kościelne, mszały i rękopisma, oto główne jej bogactwo. Pamiątek historycznych nie brakowało, ale były też i zbiory tabakierok jakiegoś niedawnego szlachcica, wystawione może dla przykładu, że terazniejsze pokolenie więcej zajęte jest wygodami nosa, niżli zabezpieczeniem dłoni, dlatego kto chce tylko, ten ciągnie nas za nos, a my niezgodnie odzgnąć licha sztuką krzyżową. Wystawa nie przyniosła żadnego owocu: zwidzano ją, aby o niej na chwilę pogadać, ale nikt jej nie studiował. Na pięciu fotografów, żaden nie zajął się zdjęciem odwzoru cenniejszych pamiątek, żaden malarz lub rysownik nie popracował nad przeniesieniem na papier tego co wystawiono. Minęły trzy miesiące, przeszła i wystawa bezkorzystnie.

Przyjazd aktorów krakowskich zwał mnie na dłuższy czas do Lwowa, i nie żałowałem tego. Pobyt Pfeifra podczas pory letniej w tym mieście był ryzykowny; staranna jednak gra i wystawność widowisk, zwały liczną publiczność, pomimo pustek w mieście. Dyrekcya teatru lwowskiego straciła wiele na pobytku aktorów z Krakowa, bo publiczność miała sposobność porównać oba towarzystwa, a rezultat wypadł częściowo na niekorzyść lwowskiego. Pfeifer przedstawił po większej części sztuki krakowskie, jak: *Lobzowanie*, *Wiesław*, *Krakowiaczy*, *Bartosz z pod Krakowa*, lub też oryginalne mało tu znane, jakoteż: *Chatka w lesie*, *Szlachectwo duszy*. Nie obeszło się też bez roli popisowej Pfeifra w *Napoleonie w Hiszpanii*, dramacie przeprobionym przez Szym. Niedzielskiego z powieści w *Rozmaitościach lwowskich*. Towarzystwo krakowskie w sztukach wiejskich sielankowych niezaprzeczenie lepiej przedstawiło się niż lwowskie. Ogień i dziarskość, jakaś ochota niewymuszona, przytęm wytworne, niemal zbyt dobre stroje krakowiaków, wszystko to razem tworzyło wdzięczną harmonią. Jeden tylko śpiew wcale nie do pochwały, i jeden tylko artysta *Delchau* w rolach komicznych, które parodował, psuł całość. Do dramatów nie ma towarzystwo Pfeifra sił dostatecznych; staranną jednak grą i dobrą wygłoszeniem wiersza odsłoniło piękną stronę dramatu deklamacyjnego: *Szlachectwo duszy*, który grany niedbale przez towarzystwo lwowskie, tej zimy upadł stanowczo.

Ozdoba towarzystwa krakowskiego jest *Karol Królikowski*. Role konwersacyjne, role mężów młodych, gra bardzo dobrze; pozbył się nawet tej przesady, która przebiegała w grze jego niedawnymi czasami. Takiego artysty nie ma trupa lwowska ani jednego, jeżeli wyłączymy dyrektorów. W ogóle w towarzystwie lwowskim młode pokolenie aktorów nie wyrabia się za wzorem mistrzów. Najlepiej grywa *Wilkoszewski*; wiele ma wdzięku i układności, ale gra jego miękka, niewieścia, przeto jednostronna. *Kaliciński* jest główną figurą trupy; postać jego jest okazala, ale gra wiecznie jednakowa; od lat dziewięciu nie cofa się, ale też nie idzie naprzód: zdaje się że nie pracuje nad sobą. Mniej jeszcze znać pracy w utalentowanym *Maleszewskim*. Trudno być w zgodzie z pamięcią, gdy jest sojusz z podpowiadaczem, czyli, jak mówi wydzwiwnik gędziębny, z *podszęptcą*. Więcej pracy, więcej chwil szczęśliwych widno u *Nowakowskiego* młodszego, ale natura odmówiła mu dzwicznego głosu, a niedbałość nie nauczyła go wymowy polskiej. Z akcentem niemieckim, czy jakimś innym cudzoziemskim, artysta ten nigdy nie zajdzie daleko. Towarzystwo lwowskie ma dobrego komika do niższych ról w osobie *Heniga*; brakuje mu tylko komika do ról wyższych, a niedostaje zupełnie kochanka.

Kobięcy personel jest bardzo dobry. Pani *Nowakowska* młoda, znakomita w rolach kochanek i w rolach naiwnych; pani *Aszpergerowa*, utrzymująca dawniej nabytą sławę; panna *Targowska*, kształcąca się za wzorem pani *Aszpergerowej*; pani *Hubertowa*, (*Radzynska*) znana od lat dwudziestu na scenach polskich, i kilka innych młodych artystek tworzą całość zupełną. Pod tym względem towarzystwo krakowskie stoi niżej, choć ma dobór młodych i pięknych kobiet (co wszelako nie jest rękojmią artystycznych zalet). W truppie krakowskiej wiele wróży talent *Hof-*

manowej w rolach *Aszpergerowej*. Za lat kilka będzie to talent rozgłośniejszy. Ma ona także dobrego kochanka. *Benda* jest piękny mężczyzna, gra z uczuciem, choć może zbyt naśladowuje *Królikowskiego*. *Janowski* przedstawia chłopów z dosadną prawdą; artysty w tym kierunku nie ma towarzystwo lwowskie. Personel lwowski jest liczny, ale liczba nie wystarcza: potrzeba staranności gry, której nie widno, potrzeba wystawy, która jest najędźniejszą, potrzeba świeżej garderoby, która dziś jest zbiorem starożytności. Publiczność ucześnie liczy, teatr przynosi dochody ogromne, lecz mimo to scena nie podnosi się, bo system oszczędności stanął na zawadzie jej rozwojowi. Pfeifer z mniejszymi środkami, więcej zdaje się dbać o tę zewnętrzną stronę sceny. Publiczność czyniła porównania, i bodaj czy nie myślę się, będzie na przyszły kurs zimowy więcej wymagającą pod tym względem.

W *Lobzowanie* i *Wiesławie* stroje aktorów krakowskich były przesliczne. Grano też z przejęciem się, mianowicie pierwszą sztukę (z wyjątkiem karykaturalnego *Delchaua*). Nowo wystawiona sztuka *Dębickiego: Bartosz z pod Krakowa*, nie uzyskała pobjązania. Już to początek sztuki jaki taki; znać przejęcie się *Anczycowskimi* obrazkami, tylko bez *Anczycowego* humoru. *Reminiscencya* byłaby się powiodła, ale brak poczucia estetycznego zabił krotoczwilę. Scena z przebiegiem bakałarza za kobietę i biciem go kijami, dobra do budy jarmarcznej. Jeżeli autor i aktor zarazem wykresli owe niedowcipne sceny i skróci tępym samym rozwałkowane działanie, będzie jego sztuka znośną sielanką i utrzymać się może. I *Anczyc* wprowadza sceny burdy wieśniaczej, ale wprowadza je chwilowo, przelotnie, nie zasadzając na nich ani dowcipu, ani też nie czyniąc na nie nacisku. W początkowych scenach *Dożywocia w letargu*, okazał *Demicki*, że mógłby pisać niezgorsze obrazki wieśniacze; lecz niech się strzeże dogadzać gustowi galeryi, a raczej ulicy.

Za trzecim pobycem we Lwowie rozpatrywałem się w świecie politycznym. Żle się wybrałem: albo pustka, albo ruina. Współ-redaktorowie, pism różnych, jak: *Zacharyasiewicz*, *Szedler*, *Widman*, gdzieś tam po *Szczawnicach*, *Krynicach* i *Brzeżanach* odświeżają siły umysłowe. *Kaczkowskiego Zygmunta* proces trwa, i zapewne wkrótce ukończony zostanie. Gdy jego dziennik upadł, naraziwszy akcyonaryuszów na stratę około 450,000 złp. (miał bowiem mało prenumeratorów), zachodzi obawa że może i *Przegląd powszechny* z końcem tego miesiąca ustanie, pomimo iż ma więcej niż 4,000 prenumeratorów i chciwie bywa czytany. Redaktor i współpracownicy pisma tego: *Stupnicki*, *Platon Kostecki* i *Blotnicki*, odbyli ciężką przeprawę. Temi dniami toczył się publicznie w sądzie karnym proces przeciwko nim o występki drukowy, i mimo świetnych obron adwokatów: *Kabata*, *Rajskiego* i *Hoenigsmana*, dwaj pierwsi uznani zostali za winnych. Nie jest to wyrok ostateczny, bo odwoływać się wolno; ale za zatwierdzeniem wyroku, nastąpić musi zwinienie czasopisma, bo kto sądownie karany, ten nie może być redaktorem.

Ubytek pism tych wynagrodzi pojawienie się innych. Obywatel wiejski *D'Abancourt* uzyskał concessyą na pismo polityczne; drukarz *Poremba* ma pozwolenie na także pismo p. t. *Kuźnia*; również wolno jest obok *Przyjaciela domowego* wydawać polityczny dziennik. Tak więc zdaje się że nie będzie szczyrby.

Chciałem odwiedzić *Szajnochę* i *Bielowskiego*, lecz nie zastałem ich we Lwowie. Pierwszy przepędza lato w *Samborskim*, i o ile mówiono mi, stan zdrowia jego nie pogorsza się ani polepsza. Mimo że zawniwdział zupełnie, pracuje z tymże ogniem co dawniej, a praca to stokratnie mozolniejsza, bo brak wzroku zastępować musi ogromną pamięcią swoją i zręcznością lektorów, których wykształca na następców swoich. *Bielowski August* bawi jeszcze w kąpielach. Zaczny ojciec utracił niedawno ostatnie dziecko, siedmastoletnie, nadobne i najmilsze dziewczę. Cios to bolesny, zwłaszcza po stracie kilkorga dzieci. Professor *Malecki* gdzieś w *Poznańskim* szuka wytechnienia po pracy nad trzytomowymi dziejami literatury i nad obszernym tomowym studyum o pismach i życiu *Jul. Słowackiego*, tudzież nad mniejszą i większą gramatyką polską, które w roku bieżącym napisał. *Szmitt Henryk* również w kąpielach; przed wyjazdem pusił w świat wyborną rozprawę o pseudo Rusinach, tudzież zeszyt pierwszy skróconej historii polskiej, którą za powrotem niebawem wykończy.

Zajrzałem też do biblioteki *Ossolińskich*. Zastałem tam tylko *Kalickiego*, młodego historyka przygotowującego rozprawę z życia *Jana III*, do czytania jej na dorocznym posiedzeniu grona bibliotecznego, tudzież rozprawę o napisie na pomniku hetmana *Jabłonow-*

skiego, postawionym niedawno na wałach, napisie obejmującym niejedną błąd historyczny. O kustosz biblioteki *Ossolińskich*, *Ksawerym Godebskim*, pisały gazety warszawskie, że ułożył dokładny registr do bibliografii *Jochera*. Mówiono mi że pracuje podobno nad uzupełnieniem *Bentkowskiego* czy też *Jochera*.

Ważną byłaby ta praca, mianowicie gdyby uzupełnić *Jochera* registrem szczegółowym, bo bez rejestru, chaotyczny *Jocher* jest do niczego. Wydać registr było obowiązkiem nakładcy *Zawadzkiego*. Lecz odkąd na ostatnim zeszytce *Jochera* ukazało się, że dla przyczyn handlowych wydawnictwo dzieła tego ustaje, zaciemniła się niegdyś sławna firma *Zawadzkiego*. Wstyd powiedzieć, że gdy w r. 1858 *Radziszewski* dokonał zmudnej pracy ułożenia rejestru do *Jochera*, *Zawadzki* dał mu za to honorarium książkami w cenie złp. 40. Otrzymał pracę za darmo niemal, a mimo to nie dopełnił powinności, nie wydrukował jej dla prenumeratorów *Jochera*, choć byłby to niewielki koszt. Dlatego w tym stanie rzeczy praca *Godebskiego*, jeżeli jest dokonana, będzie bardzo pożądana, bo ułatwi poszukiwania w *Jocherze*, który swoim bezładem w pozorny systematyczności, odstręcza badacza najpracowitszego.

Pokazywano mi w bibliotece *Ossolińskich* ostatnie arkusze przedruku słownika *Lindego*. Dzieło więc ukończone, dzieło, które tyle lat czasu zabrało. Zapewne zarząd biblioteki *Ossolińskich* użyje obecnie zbawających funduszów, (dopełniając woli fundatora) na wydanie ściśle naukowego czasopisma, lub na przedruk ważniejszych bibliecznych rękopisów.

W bibliotece *Ossolińskich* poznałem się z bibliotekarzem księcia *Kuzy*, niejakim *Hylzenem*, pochodzącym z rodziny polskiej na *Woloszczyźnie* osiadłej i mówiącym dobrze po polsku. Jestto przyjemny młody człowiek, znający zarówno nasze dzieje, jako i swój ojczyzny.

Przez *Lwów* przejeżdżało temi czasami kilka osób naukowych, jak: *Spasowicz*, tłumacz *Kochowskiego* i *Rudawskiego*, *Kalinowski*, profesor ekonomii politycznej w *Petersburgu* i inni.

Chciałem wznówić stosunki w muzycznym towarzystwie, zwłaszcza że spotkał się niespodzianie ze *Styński*, robiącym z *Warszawy* wycieczki na wszystkie strony i projektującym koncert, do którego i mnie zaciągnąć usiłował. Muzyka odbywa dwumiesięczne wakacje. Na czele stowarzyszenia stoi ciągle *Mikuli*, zdolny fortepianista i kompozytor. Mimo dobrej firmy, byt towarzystwa podkopany i wielu członków je opuściło. Oderwańcy utworzyli osobne stowarzyszenie śpiewu; zamysłano nawet o utworzeniu drugiego towarzystwa muzycznego. Jakoś w państwie harmonii nie ma harmonii. Najlepszy i jedyny skrzypek, ulubieniec *Karola Lipińskiego*, *Starzewski*, był zniewolony opuścić towarzystwo, a nawet przeniósł się do *Lipska*. Następca jego, *Karol Kozłowski*, niczem go nie zastąpi; między jednym a drugim zachodzi niemal stosunek, jak między uczniem a nauczycielem. Mimo tego rozstroju, towarzystwo daje oznaki życia w innym kierunku: wydaje album muzyczne, w którym oprócz prac *Mikulego*, znajduje się polonez z początku *XVIII* stulecia, znalezione w bibliotece klasztornej. Wyszukiwanie i wydawanie starożytnych melodyj polskich, może światu muzycznemu niemal przynieść pożytek.

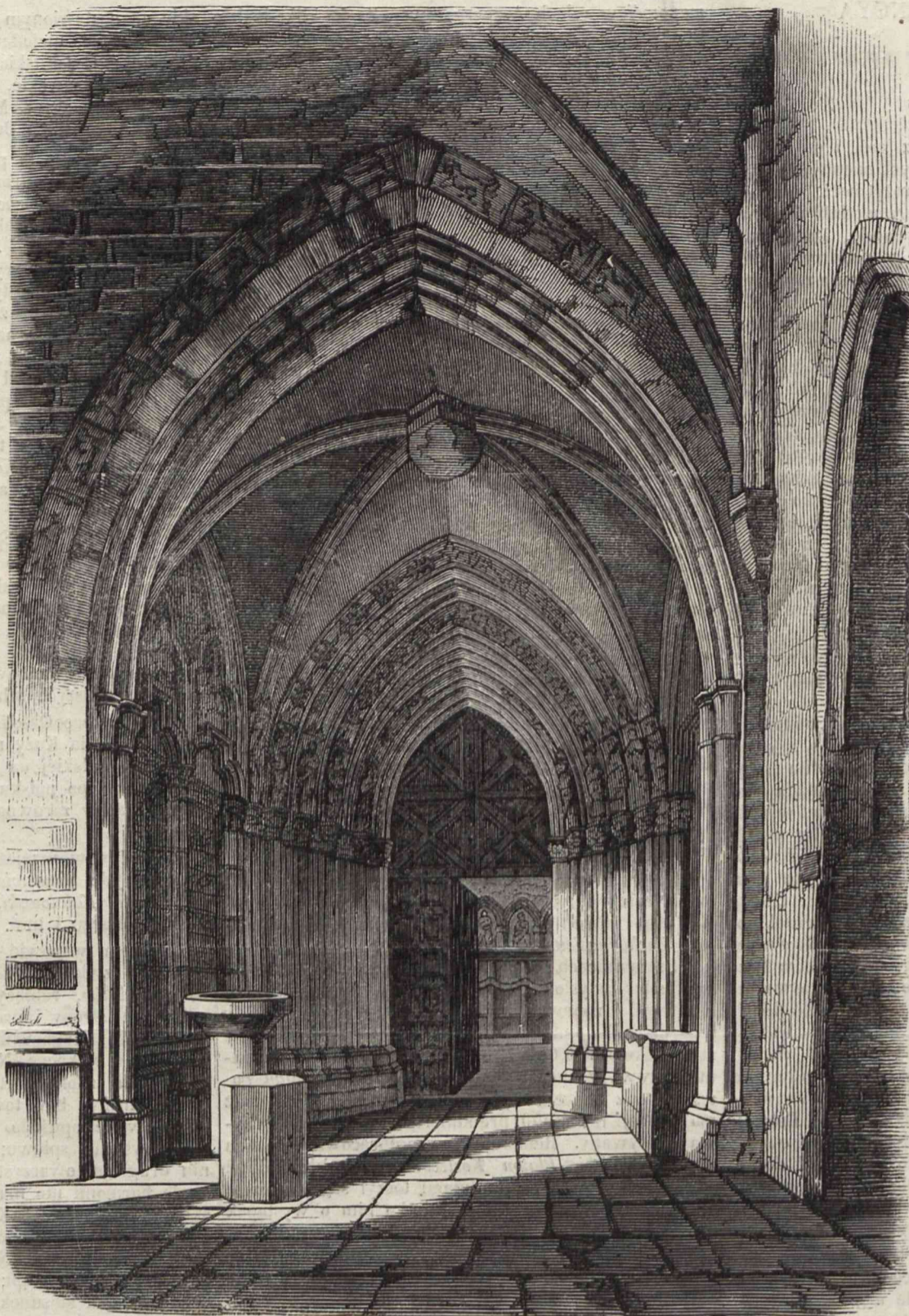
Chciałbym ci udzielić wiadomości ze świata literackiego; ale polityka dzisiaj na porządku dziennym, więc oprócz dawniej wyszłych politycznych broszur prof. *Diella* (z pod *Tuchowa*) *Rychlickiego* (z *Rzeszowa*) *Rozenbluma* i *Szmitta*, wydawnictwo ogranicza się na drobniagach. *Wielogłowski* sypie broszury z rękawa, *Rogosz* sypie z rękawa poemata w zakroju księdza *Baki*. Z prac poważniejszych ukazał się tom pierwszy *Salvandego* historyi panowania *Sobieskiego*, w przekładzie *Sierakowskiego*. *Salvandy* znany nam był dotąd w przerobieniu przez *Rogalskiego* i w skróceniu przez *Giżyckiego*. Nie jest jego dzieło klasyczne, ale gdy nie mamy dotąd lepszego, trzeba się i niem zadawać. *Czemeryński* wydał pierwszy zeszyt wykładu prawa austriackiego, dzieło potrzebne i pożyteczne; szkoda tylko że polszczyzna nie odpowiada wymaganiom czystości terminologii i budowy peryodów. Księgarz *Wild* wydrukował tom trzeci szkiców *Szajnochy* i wybór powinszowań *Kowalskiego*. Dziełko *Jana Zacharyasiewicza: Wykład dziejów polskich dla dzieci*, wyszłe r. 1855 pod imieniem *Łomży*, otrzymało nową sukienkę i rycinę, uchodzić więc będzie za nowalią w drugiej edycji.

Zacięty homeopata, *Kaczkowski Antoni*, wydał dwa pismka: O użyciu łaźni parowej i O dyecie homeopatycznej, obadwa odrukowane z kwartalnika lekarskiego *Homeopata polski*, którego wyszły trzy zeszyty.

Do kwartalnika tego pisuje *Konstanty Szczaniecki*, zresztą wszystko niemal jest pióra samego redaktora. Mimo że kuracją homeopatyczną uważam za rodzaj eliksiru Dulkamary, przyznać atoli winienem, iż *Kaczkowski* zasługuje się krajowi, obudzając ruch w świecie lekarskim, który w tych stronach uspijony jest w życiu zarobkowym.

O pracach przygotowanych do druku może niejedno można by pisać, ale co po tém, jeżeli rękopis nie ujrzy światła. Pokazywano mi spisane foliały dzieła obejmującego drobny opis Galicyi, skreślony w abecednym porządku przez *Sznajdra*, kandydata na nauczyciela wiejskiego. Dykcyonarz historyczny Galicyi byłby interesujący, gdyby do opisu posłużyły bogate źródła rękopiśmienne w tutejszych bibliotekach. *Supiński Józef* drukuje nowe dzieło ekonomiczne, zastosowane do gospodarstwa narodowego. *Stupnicki* redaktor przepolszcza wydane przez siebie w r. 1846 dzieło dotyczące wykroczeń celnych, i kończy druk *Herbarza* dodawanego do *Przyjaciela* domowego. *Mieczysław Romanowski*, któremu tak szczęśliwie powiodło się z poematem *Dziewczę z Sącza*, napisał dramat wierszem i rozszerza studium obejmujące historią legionów polskich we Włoszech, którą to rozprawę drukował w *Dzienniku literackim*, a zamierza obecnie wydać osobno w powiększonej treści.

Innego pisarza widziałem na ukończeniu pracę mającą być w przyszłym roku drukowaną w Warszawie, nakładem księgarni *Celsa Lewickiego*. Jestto bibliografia polska, obejmująca wszystko cokolwiek od r. 1800 przez lat 62 pojawiło się tak w polskim języku, jako i w innych, bądź jeśli te obce dzieła odnoszą się do polskich rzeczy, bądź jeśli z polskiego tłumaczone były, bądź jeśli pisane były przez Polaków w obcym



DRZWI ZŁOTE KAPLICY W ZAMKU MALBORGSKIM.

racki, *Przyjaciel domowy*, *Czytelnia dla młodzieży*, *Dodatek do Gazety lwowskiej*, *Dzwonek*, *Przyjaciel dzieci*, *Homeopata polski* i dwa pisma polityczne, stanowią całe dziennikarstwo lwowskie. Do tego przybędzie wkrótce pismo: *Praca*, pod redakcją *Twardowskiego*.

Dziennik literacki rozwija się w wytkniętym kierunku i umie zainteresować kwestjami czasowemi. Rozprawa *Szujskiego* o kongresie wiedeńskim, studium *Ludw. Powidaja* p. t. *Kozacy zaporozscy na Ukrainie*, rozprawa *Juliusza Starkla*, powieść *Zygmunta Miłkowskiego*, dotyczą spraw bieżących i ważnych. Poezje *Ludw. Jabłonowskiego* głównie zapełniają kolumny *Dziennika*; są jednakowoż i małopolskie poezje *Szewczenki* i *Platona Kosteckiego*.

Czytelnia dla młodzieży wchodzi na właściwszą drogę, umieszczając szersze sprawozdania ze szkół i uniwersytetów. Artykuły o uniwersytecie petersburskim, o szkołach w Poznańskim były ciekawe; takich opisów niedostaje z Warszawy i Litwy. Gdyby były wierne i szczegółowe, tworzyłyby szacowny materiał do dziejów edukacji narodowej. *Przyjaciel dzieci*, wydawany przez *Zawadzkiego Władysława* i *Nowińskiego Stan.*, mało jeszcze rozpowszechniony, a o zaletach jego lub błędach trudno sądzić z kilku numerów.

Lwów przoduje liczbą czasopism, bo ma ich 10, (doliczając zapowiedzianą *Pracę*), *Kraków* ma ich 3, *Cieszyn* 1, *Wiedeń* 1. Gdyby uzyskanie koncessyi nie było połączone z tak wielkimi trudnościami, wychodziłoby ich drugie tyle. Ogółem wychodzi rocznie polskich czasopism, we wszystkich prowincjach i zagranicą, przeszło 40, z tych połowa na samą Warszawę.

Na tém kończę moje pismo, pozostawiając resztę do osobistej pogadanki, za powrotem do serca wspólnej krainy.

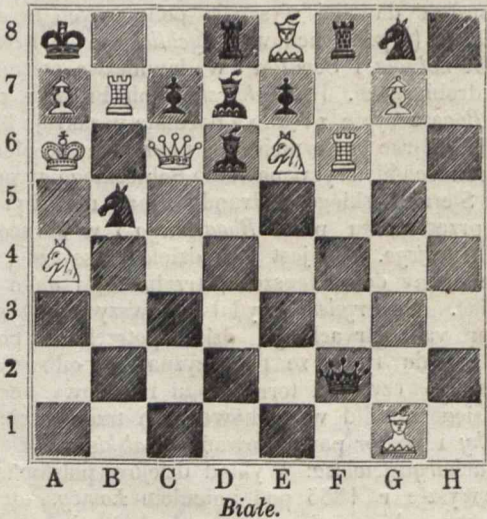
SZACHY.

ZADANIE LXXXIII.

(F. Zab. w Warszawie).

Białe zaczynają i zmuszają czarne do dania sobie (białym) mata za siódmym posunięciem.

Czarne.



Białe.

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nr. 106.

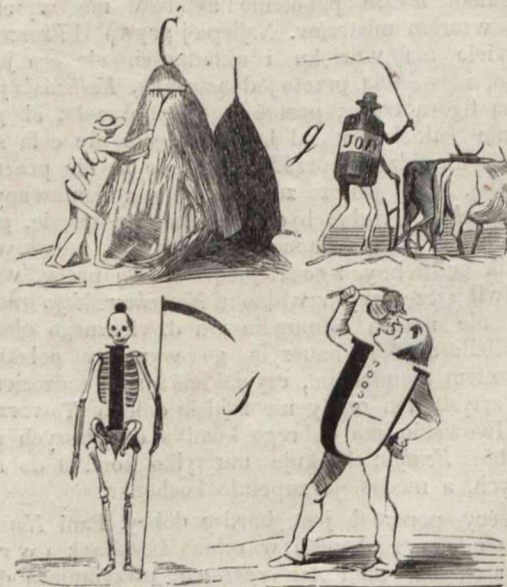
Gdy w lesie strzelcy na rogach gromko trąbią, to pora miła, jeżeli odważne serce bije w piersi człowieka.

języku. Takiego katalogu, któryby zarazem był księgarskim, nie ma literatura nasza, a uczuwają jego potrzebę zarówno księgarze, jak i posiadacze bibliotek. Miarą obszerności jego jest porównanie z *Jochem*. *Jocher* w trzech ogromnych tomach spisał do 10,000 książek; katalog bibliograficzny za to stulecie obejmie ich najmniej trzydzieści tysięcy, więc będzie potrójnie większy od dzieła *Jochera*.

Aby uformować taki katalog, trzeba było przejrzeć nie tylko pół tysiąca katalogów księgarskich polskich i porównać je między sobą, nie tylko wybrać wszystko z dzieł bibliograficznych (*Jocher*, *Bentkowski*, *Gąsiorowski*, *Ciampi*, *Barącz*, *Wojcicki*, *Bielski*, *Chłędowski*, *Bandkie*, *Sowiński* i t. p.), ale trzeba było z miliona przeszło dzieł niemieckich w katalogach *Kajzera Heinziusa* i innych wyczerpać wszystko co odnosiło się do rzeczy polskich, trzeba było podobnie wszystko co polskie wyczerpywać z bibliografii francuzkich. Jeżeli to prawda że autor nie pominął tych źródeł, a nadto że sprawdzał zbiory swe ze zbiorami jednej z najbogatszych bibliotek w kraju, można przypuścić, że dzieło będzie dosyć dokładne. Wydawanie katalogów księgarskich cząstkowych, z lat kilku lub kilkunastu, o jakimś zamyślają *Leonard Chodźko*, *Brokhaus* i *Franke*, a jaki wydał w r. 1852 *Wal. Rafalski*, nie przyniesie dla księgarstwa polskiego tej korzyści, jaką przyniesie może katalog nakładu *Celsa Lewickiego*, obejmujący cały okres literatury naszej porozbiorowej.

Literatura czasopismowa krzewi się tak jak dawniej: nic nie przybywa, nic też nie ubywa. *Dziennik lite-*

REBUS.



Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 82.

Białe.

Czarne

- 1) C4 — F7 + A5 — B4 białą.
- 2) G1 — H3 + G4 — H3 białą.
- 3) E2 — E3 + F4 — F3.
- 4) C5 — F5 białą G6 — F5 białą.
- 5) F7 — H5 + i mat.